

Dialog

WARSZAWA

M.	Nr	4	04-2001
----	----	---	---------

Kinga Dunin

RZECZYWISTOŚĆ
ZAKŁĘTA W MISIA

Lustracja wciąż trwa, mogłoby się więc wydawać, że temat kolaboracji czy tajnej współpracy z komunistyczną władzą jest nadal żywy. Że obok kwestii prawnohistorycznych i publicystycznych harców jest też miejsce na inną refleksję, taką, dla której miejscem mogłaby być literatura ze swoją nadwrażliwością, indywidualizmem, bogactwem środków wyrazu, umiejętnością głębszego wejścia w ludzkie motywy i zażyłości historii. Poza tym, kiedy zaproponowano mi przyjrzenie się sztuce Piotra Kokocińskiego *Miś Kolabo*, pomyślałam, że w końcu znam się na tym. Jeśli nie na telewizyjnym teatrze, to przynajmniej na temacie. Jakkolwiek by było, sama kiedyś szantażowana podpisałam lojalkę. A potem miałam trochę czasu na rozważenie wszystkich możliwych aspektów tej sytuacji. Nigdy na nikogo co prawda nie donosiłam, ale czy mogę dać głowę, że w żadnej sytuacji nie byłoby to możliwe? Dzięki temu wiem nie tylko tyle, co każdy domorośli moralista, ale miałam także wgląd w sytuację osoby podejmującej taką decyzję.

Pierwszy, podstawowy dylemat dotyczy samego stosunku do norm moralnych i wynikających z nich wska-

zówek. Możemy uznawać ich obiektywny charakter i wtedy tragedią jest zderzenie różnych nie dających się pogodzić ze sobą wartości i moralnych zobowiązań. To wiadomo przynajmniej od czasów Antygony. Można też być sytuacjonistą. Uważać, że choć istnieje coś takiego jak moralne dobro, to nie ma żadnych jasnych przepisów mówiących, jak może być ono osiągnięte. Każdorazowo dokonujemy wyboru w jakiejś niepowtarzalnej, indywidualnej sytuacji i chodzi o to, aby prowadził on do owego dobra. To wiadomo przynajmniej od czasu, kiedy święty Paweł powiedział: kochaj i rób, co chcesz.

Sytuacjonizm wymaga absolutnej uczciwości wewnętrznej, bo bardzo łatwo pomylić własny egoistyczny interes i lęk z decyzją o charakterze moralnym. Poza tym nie zawsze znamy wszystkie aspekty sytuacji, wiele z nich jest wytworem naszej wyobraźni, łącaniem epistemologicznych dziur domysłami, wnioskami wywiedzionymi ze słabych przesłanek. (Dziś na przykład uważam, że ówczesny mój błąd polegał na złej ocenie sytuacji i że mogłam śmiało nie podpisywać, ale kto wtedy to wszystko wiedział? Dopiero po czasie wszyscy są mądrzy i bardzo odważni.) Łatwo oskar-

żyć sytuacjonistę o to, że poruszając się bez drogowskazów – błądzi. Poza tym wyborów naszych nie dokonujemy w społecznej próżni. Samo przestrzeganie normy, dawanie świadectwa może być wartością. Czyż normy nie są poręczami dla leniwych? Ktoś, kto nawet w dobrym celu je kontestuje, osłabia ich działanie i tworzy sytuację społecznego przyzwolenia na ich łamanie również w celach mniej szlachetnych. Czy jednak zbyt sztywne trzymanie się norm nie rodzi innych niebezpieczeństw? Czy postępowanie zgodne z normą zawsze jest aktem kryształowo czystym etycznie? Czy tu też nie pojawiają się motywy egoistyczne? Lęk przed ostracyzmem, utratą szacunku i oparcia grupowego, rachuby na przyszłość, pycha? Nie tylko w czasach komunistycznych, ale w każdym niestannie musimy rozwiązywać takie dylematy, nawet jeśli do końca nie zdajemy sobie z tego sprawy.

Specyfiką okresu realnego socjalizmu, szczególnie w czasach stanu wojennego, było to, że tworzył on skomplikowane sytuacje, którym jednocześnie towarzyszyła mocna struktura przekonań moralnych, jasno rozgraniczająca dobro od zła, „onych” od nas. W warunkach ograniczonej swobody często jedyną możliwością działania było świadczenie wartościom i ostentacyjne przestrzeganie często drobiazgowych albo nawet śmiesznych norm (oporniki w klapach, świeczki w oknach). Jak na razie, ani polityka, ani publicystyka z problemem tym poradzić sobie nie potrafią, a nadzieje można by pokładać właśnie w literaturze, oczekując od niej na przykład postawienia pytań dotyczących drugiej strony dramatu. Gdy oceniamy tamte czasy z dzisiejszej perspektywy, może powin-

niśmy zdobyć się na dostrzeżenie po drugiej stronie podobnej gry zasad, moralności, egoizmu, zakłamania, fałszywych lojalności? Oni też mogli mylić się w ocenie sytuacji. Czy wszystko to traci swoje znaczenie, jeśli dotyczy niesłusznej sprawy? Czy ci, którzy swoją rację moralną ostatecznie mogą poprzeć siłą, zawsze ją tracą? A jeśli ktoś nie ma ani siły, ani wolności, to co dzieje się z jego moralną podmiotowością? Istnieje przecież pogląd głoszący, że ponosimy odpowiedzialność tylko za to, na co mamy wpływ.

Tu należy zauważyć, że umysł w działaniu nie jest aż tak dyskursywny. Na wszystkie te rozważania ma się zazwyczaj pięć minut w niezbyt sprzyjających warunkach. Decyzja musi jednak zapaść i potem dopiero próbujemy ująć ją w karby racjonalizacji. Może myśli za nas w tym czasie jakaś intuicja? Odruch? Ale na odruch ten składa się bardzo wiele wcześniejszych, odłożonych w nas doświadczeń i emocji. Nie mówiąc o czynnikach interakcyjnych i sytuacyjnych.

Gdybym kiedyś chciała przeanalizować dokładnie te pięć minut namysłu, które doprowadziły mnie do decyzji, którą i dziś uważałabym za słuszną, gdyby nie to, że oparta była na fałszywych przesłankach, mogłabym napisać długą powieść. Ale nie mam

takiego zamiaru, chętnie jednak podobną powieść bym przeczytała albo obejrzała film lub dramat teatralny, w którym wszystkie te czynniki kłębią się w jakiejś niepowtarzalnej konfiguracji. Gdzie konflikty pojawiają się po to, by stawiać znaki zapytania, a nie wskazywać palcem wygranych i przegranych. Jeśli problemu tego nie potraktujemy jak taniej publicystyki, to jest tu wciąż materiał na coś naprawdę poruszającego.



Fot. Erazm Ciołek

Pod warunkiem że tematu nie zeżre schemat. Przy całej sympatii bowiem, jaką może budzić zamyśl Kokocińskiego, szkielet ideowy jego sztuki przedstawia się cokolwiek prosto.

Oto trójka bohaterów.

On. Dobry, szlachetny, uczciwy. Decyduje się na współpracę z esbecją, by chronić żonę. Nikomu ostatecznie bezpośrednio nie szkodzi, bo oni i tak już wszystko wiedzą. Zresztą nie ma komu szkodzić, skoro Solidarność, ta oficjalna i ta podziemna, i tak jest przez nich inwigilowana i sterowana. W końcu odkupuje swoje winy, umierając w więzieniu. Autor zrobił absolutnie wszystko, aby całe zło przerzucić na system i zdobyć dla swego bohatera nasze jednoznaczne współczucie. Niechciał być ofiarą reżymu. Przecież nie chciał, a poza tym nie mógł inaczej.

Ona. Wredna baba, która zdradza męża. Korzysta z pozycji swego ojca, partyjnego aparaczyka. Najpierw nienawidzi Solidarności i nie pozwala mężowi w niej działać, później w stanie wojennym zostaje nawiedzona i głupią działaczką podziemia, oczywiście jedynie z próżności i owczego pędu. W więzieniu natychmiast pęka. Jednym słowem – szmata.

I wreszcie „przedstawiciel reżymu”. Samo zło. Wie absolutnie wszystko. Wszystkim i wszystkimi manipuluje.

Jakże łatwo tłumaczyć się i rozkłada ten trójkąt!

Powiedzmy, że „on” to Prawdziwe Polskie Społeczeństwo. Jeżeli nawet pozory przemawiają przeciwko niemu i ktoś (niezwykle) mógłby sądzić, że znajdowało się ono w dwuznacznej sytuacji moralnej, to w istocie jest szlachetne, niewinne i skrzywdzone. A nawet jeśli popełniło jakiś błąd, to odkupiło go cierpieniem. Z kolei „ona” to zwykłe polskie społeczeństwo, zdemoralizowane przez system. Motłoch, po którym możemy się spodziewać je-

dynie egoizmu i co najwyżej patriotycznej tromtadacji bez pokrycia. I wreszcie system, który jako taki jest złem wcielonym, a trybiki, które go napędzają, nie są właściwie ludźmi, którym przysługiwałaby jakaś moralna podmiotowość.

Sztuka Piotra Kokocińskiego skłania do zastanowienia się nad jednym: czemu to polska literatura, bo z racji własnych zainteresowań trudno mi w tym miejscu nie myśleć o najnowszych dokonaniach prozatorskich, tak głęboko grzeźnie w schematach? Czemu nie potrafi dobrać się ani do historii, ani do współczesności inaczej niż przez kilka powszechnie dostępnych sztanc?

Mam jednak kłopot, bo sama nie znam odpowiedzi na te pytania. Kiedy ten brzydal Reich-Ranicki obraził wszystkich Polaków, zarzucając naszej ukochanej literaturze ucieczkę od prawdziwych problemów na jakąś wiochę, niektórzy przebąkiwali, że może się nie myli. Ja myślę, że problem jest głębszy. Rzeczywiście, to, co w polskiej literaturze wydaje mi się dziś najbardziej obiecujące, wygląda nieco eskapistycznie. Posługuje się alegorią, baśnią, mitem. I w tej literaturze znajdują jakąś prawdę, o mnie, o świecie, a także o Polsce. Natomiast literatura, która poprzestaje na technikach realistycznych, która sięga po elementy naszej codzienności albo historii, zawsze trąci fałszem. Zamiast poruszać, zaciekawiać, pobudzać do myślenia albo kołysze do snu wśród różnych słusznych kołysanek, albo nudzi i irytuje.

Wygląda więc na to, że polska rzeczywistość została zaklęta, rzucono na nią jakiś czar, który sprawia, że wprost opisać się nie da. A może jest zaklinana stale, poprzez kolejne uproszczenia i zakłamania? „Miś kolabo”, językowy wynalazek czasów dobranocek z misiem Colargolem, to chyba jedno z takich zaklęć.